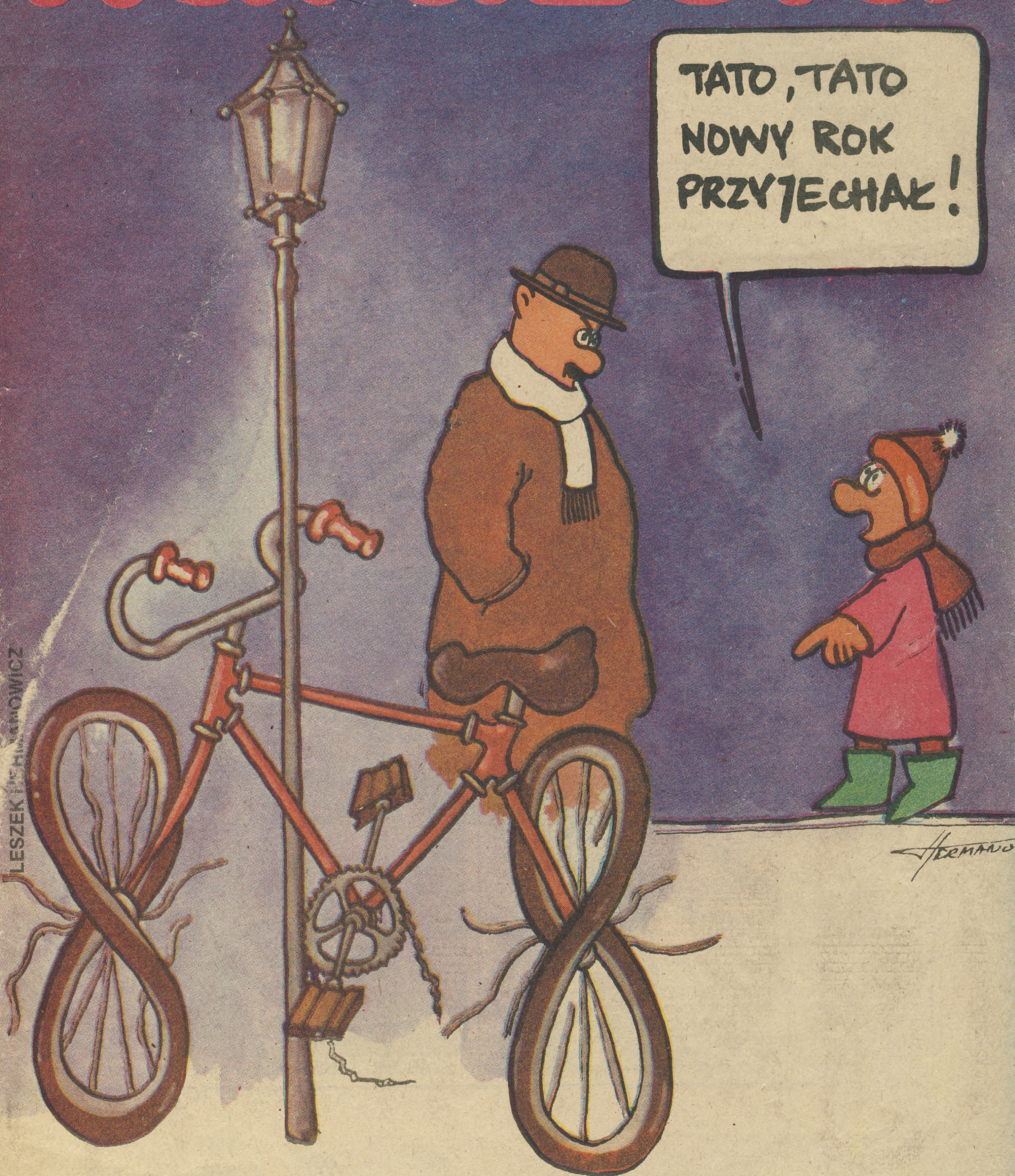
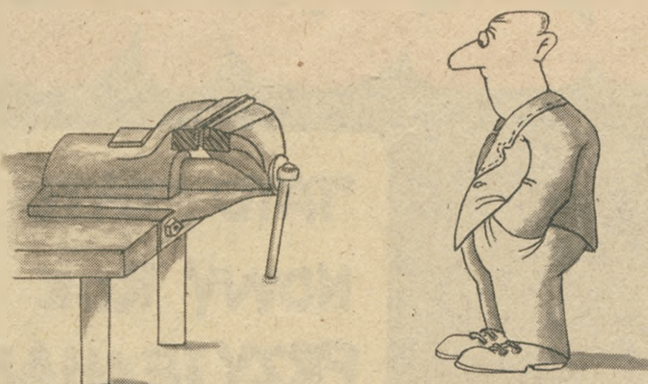
ROK XXXII Nr 1/742 1988.01.07 PL ISNN 0449-9026 CENA 25 ZŁ

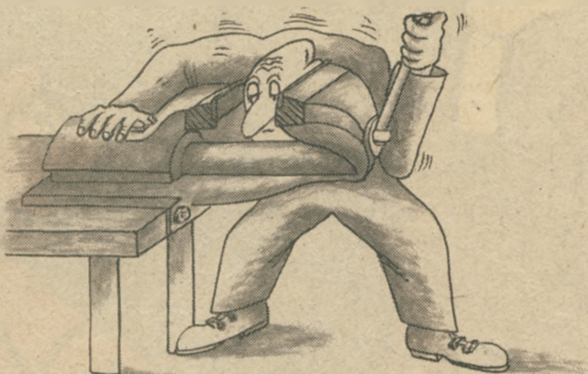
karuzela



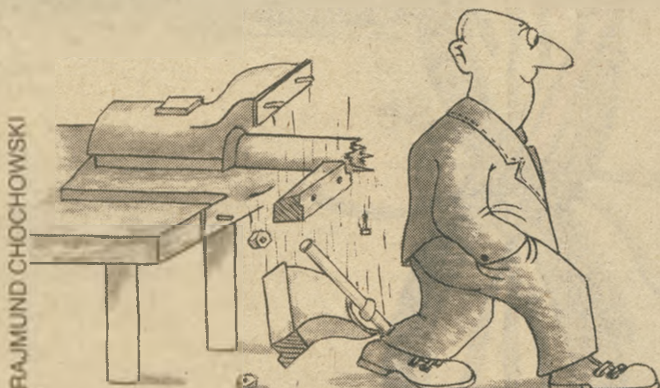
1



2



3



RAJMUND CHOCHOWSKI

Droga „Karuzelo"!

Pozwalam sobie w pierwszych słowach mojego do Was pisania w tym roku, nowym przecież, poinformować, że przestudiowałem wszystkie horoskopy i kalendarze, aby dowiedzieć się, co mi przyniesie najbliższa przyszłość. Otóż będzie dobrze, albo bardzo dobrze, ale też może się zdarzyć i coś gorszego. Równo te możliwości zostały podzielone na dwanaście miesięcy, więc w sumie niczego nie będzie za dużo – ani dobra, ani zła. Mając już tę sprawę z głowy, mogę przystąpić do omawiania kwestii zasadniczej.

Wśród prognoz znalazła się opinia Jana Januarego Jasnego – poety, o którym Wam kiedyś pisałem – głosząca, że wzrośnie zapotrzebowanie na piękne słowa. Nie wiem co miał na myśli, bo na wszelki wypadek nie pytałem go o to. W końcu rzecz pachnie jakąś aluzją. Z aluzjonistami nie chcę się zaś w nowym roku zadawać. Idę na konkret, fakty i czyny. Piękne słowa też mogą być faktem, o czym poucza zdarzenie takie maleńkie, w którym miałem przyjemność uczestniczyć w głębokiej przeszłości.

Droga „Karuzelo", wyobraź sobie, że Wasz korespondent, czyli ja, siedzi w dobrej kompanii przy kuflu piwa i są sympatyczne zbiorowe śpiewy, przeważnie z repertuaru „Mazowsza". W pewnym momencie pojawia się w piwnicy przedstawiciel miejscowej mundurowej władzy, toczy wzrokiem ponurym, a groźnym po całym towarzystwie. Zapada cisza. Ktoś jęknął, że posypią się mandaty. Władza wciąga powietrze w płuca, unosi rękę do daszka i ryczy – za przeproszeniem – całym gło-

galeria

JERZY LACHOWICZ



NABORU TAKESHITA – nowy premier Japonii

sem: „Niech żyje „Kukułeczka"! Następnie podejmuje melodię. Niestety, to zdarzyło się nie u nas, ale u braci Czechów.

Nie chciałbym, abyście ostatnie zdanie potraktowali jako aluzję do niemożności powstania takiej sytuacji u nas. Krytykowanie braku dobrego piwa i kulturalnych, spokojnych, acz ze zbiorowym śpiewem, piwiarni, jest tak banalne, że w naszym mieście nikt tego nie chciałby nawet przeczytać. Konkretnie chodzi mi o to, że January ma rację – są piękne słowa... I bywają piękni ludzie. Czyż nie powinno to budzić naszego optymizmu?

Wracam teraz do przepowiedni poety i komunikuję Wam uroczyście, iż samodzielnie doszedłem do wniosku, że zapowiadany przez niego wzrost zapotrzebowania na piękne słowa wiąże się z reformą gospodarczą. Każdy będzie chciał jak najlepiej zareklamować swoje wyroby na rynku. I zapanuje nam czysta poezja. Co do prozy, czyli prawdziwej wartości towarów, wolę się nie wypowiadać, żeby nie narazić się prozaikom, uważającym swoją sztukę za najtrudniejszą...

Kłaniam się nisko

PROSTACZEK

z różnych rabatek

Różnica

Personel położonej na Podhalu spółdzielni w niewłaściwych warunkach przechowywał norweski ser, skutkiem czego specjał ten porósł pleśnią.

– Przepraszam, czy ten serek został z Norwegii importowany, czy deportowany? – zapytał na jego widok znany krakowski dowcipniś, mec. W.

Most

Wiosną bieżącego roku odbędzie się narciarska wyprawa radziecko-kanadyjska, która wyruszy z wyspy Nowaja Ziemlja, na biegun, do Kanady. Przewiduje się, że odważni ci ludzie będą sześciokrotnie wspomagani przez zrzuty lotnicze zawierające niezbędne zaopatrzenie.

Uczestnicy ekspedycji zapytywani, co mogą powiedzieć na temat celu przedsięwzięcia – odparli zgodnie, że zanim między ich krajami przerzucone zostaną wygodne mosty porozumienia i współpracy – „dzielący je dystans trzeba pokonywać w trudzie i w męce".

– Wierzymy jednak, że nasza praca nie pójdzie na marne i zaowocuje, choć brzmi to groteskowo, dalszym ociepleniem stosunków międzynarodowych – oświadczył L.D. Dexter, szef kanadyjskiej grupy.

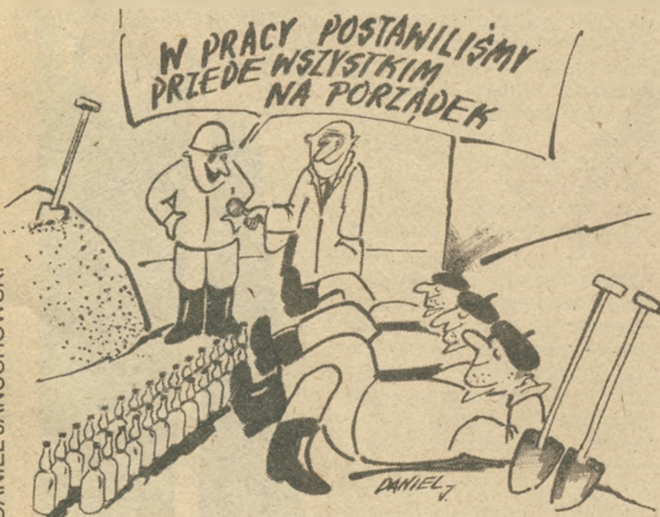
Krotochwila

Nasz stały korespondent, tropiciel bzdur i nonsensów, p. Wiesław Czermak, donosi, że w Lidzbarku Warmińskim odbył się XII Konkurs Krasomówczy. Towarzystwo miłośników tego grodu ufundowało za najpiękniejszą opowieść o owym mieście nagrodę specjalną, którą przyznano za „piękny, pełen polotu i finezji tekst poetycki pt. „Spacer po jesiennym Lidzbarku" wykonany przez sympatyczną, filigranową uczennicę miejscowego technikum.

Kiedy doszło do nagradzania, okazało się, że laureatce wręczono... parę monstrualnych rozmiarów płetw dla nurka.

Całkowicie zaskoczona upominkiem dziewczyna zapytała bezradnie: – I co ja mam z nimi zrobić?

Być może o to właśnie chodziło, żeby nawet najznakomitszy orator zapomniał języka w gębie – jak to określa popularny, choć mało elegancki zwrot. Jeśli tak, to organizatorom żarcik udał się w pełni.



DANIEL JANUCHOWSKI

Zazdrośnik

Mieszkaniec amerykańskiego miasta Marrimeck, Robert Stackelbek, ciężko przeżył fakt niedotrzymania mu wierności przez żonę. Na szczęście przypomniał sobie, ze w jego macierzystym stanie, New Hempshir (podobnie jak w piętnastu innych) zdrada małżeńska została uznana przestępstwem określanym jako „targnięcie się na własność", które zagrożone jest karą grzywny do tysiąca dolarów lub do roku więzienia.

Obecnie więc jego szczęśliwy (?) rywal zapłaci lub odsiadywać będzie karę.

Aż łza się w oku kręci, kiedy człowiek pomyśli, że jeden pozew sądowy mógł sprawić, by Otello był syty zemsty, a Desdemona cała.

Kółko

W jednej z warszawskich szkół podstawowych pani wychowawczyni znalazła u malucha kolekcję wyciętych z prasy zdjęć nagich dziewczyn. Zapytany o cel gromadzenia tej serii – uczeń z godnością wyjaśnił:

– Jest nas kilku zainteresowanych życiem rodzinnym. Zbieramy materiały i pomoce naukowe, bo podobno z podręcznikami są jakieś afery.

Sensacja

W ubiegłym roku specjaliści od badań UFO-logicznych opublikowali dokumenty dotyczące działalności grupy badającej resztki „latającego talerza" wiozącego czwórkę kosmitów, który to talerz rzekomo eksplodował nad stanem Nowy Meksyk przeszło 40 lat temu.

Otóż okazało się, że wszystkie te dokumenty o najwyższym stopniu utajnienia zostały spreparowane dość naiwnie i zawierają liczne sprzeczności.

Z powyższego wynika, iż w miarę postępu rozmów dotyczących istotnej redukcji zbrojeń rozwiewają się również mity wokół potencjalnych sojuszników z innych wymiarów.

Kanał

To trwało ułamek sekundy. Na dobrą sprawę sąsiad nie zdążył sobie nawet uświadomić co się stało, gdy rozcierając potłuczone kończyny usłyszał w absolutnych ciemnościach znany mu skądś głos:

– O, jeszcze jeden.

– Ciasno się robi, cholera – odezwał się drugi głos, także zresztą znajomy.

– To już zakrawa na żarty – pisnął trzeci. Sąsiad rozpoznał sopran panny Ewy, więc odezwał się uprzejmie:

– Dobry wieczór panno Ewo. Widzę, że sami swoi...

– Co pan widzisz?!

– Rzeczywiście, przepraszam. Słyszę; oczywiście słyszę, że sami swoi.

– No i co z tego?

– Nic, ale zawsze raźniej.

– Raźniej mu!

– W pewnym sensie jednak raźniej...

– Panie, czy pan nie zdajesz sobie sprawy, gdzie wpadliśmy?!

– Mówiąc szczerze – nie.

– W kanał wpadliśmy. W k a n a ł!

– Wpadliśmy? Nie wpadliśmy, tylko nas wpuścili! – ten głos nie znosił sprzeciwu i sąsiad nieomylnie zidentyfikował znanego ze swych radykalnych poglądów technika z trzeciego piętra.

– Mieliśmy właśnie iść z żoną na imieniny. A to pech! – zauważył sąsiad ponuro i była to jedyna refleksja, na jaką mógł się zdobyć w tym momencie.

– To nasze towarzystwo panu nie odpowiada? – zapytał ktoś zaczepnie.

– Ależ odpowiada, jak najbardziej – zapewnił sąsiad gorliwie.

– No! – powiedział tylko ten ktoś i w kanale zapadła kłopotliwa cisza.

Sąsiad jednak nie do końca pogodził się z losem. Nie miał jeszcze odwagi przemówić, ale wiercił się, chrząkał, sapał i w ogóle niecierpliwił.

– Może by pan usiadł wreszcie spokojnie na... – za-



HALINA SIBIŃSKA

trzy po trzy

piszczała złowrogo panna Ewa.

– Oczywiście, oczywiście; zaraz usiądę... Tylko...

– Co – tylko? Nie wierć się pan do diabła!

– Chodzi mi tylko o to, czy państwo próbowali dokładniej zorientować się w sytuacji? Rozejrzeć się trochę...

– Rozejrzeć się chce. Po ciemku!

– Mam zapałki – sięgnął do kieszeni i za chwilę migotliwy ogieniek oświetlił zrezygnowane oblicza towarzyszy niedoli.

– O, tam jest jakiś tunel! – pisnęła panna Ewa.

– Zapałki! Daj pan te zapałki!

Tunel był pokrętny, ale był i to rokowało niejakie nadzieje na wyjście z pułapki. Ruszyli żwawo w głąb korytarza za nikłym płomykiem w ręku technika-radykała. Teraz najbardziej niecierpliwiła się panna Ewa.

– Wydaje mi się, że widzę jakieś światełko – klasnęła w dłonie.

Zapałka zgasła.

– Jest światełko! – krzyknął technik i ruszył jeszcze żwawiej.

Światełko raz przybliżało się, raz oddalało, ale świeciło całkiem wyraźnie i wskazywało kierunek. Wreszcie zawisło w jednym punkcie i pozwoliło się dogonić.

– Robaczek, psia kość, świętojański – stwierdził technik.

– W styczniu?

– A jednak robaczek świętojański – powtórzył technik i zgniótł nieboraka.

Stali przed wilgotną ścianą, a ostatnia użyta zapałka nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości, że ten tunel prowadził donikąd. Popychając się i potykając wrócili do punktu wyjścia.

– Żeby chociaż jakaś świeczka była – westchnął ktoś beznadziejnie.

– Mam świeczkę! – krzyknął sąsiad.

– Ma świeczkę i nic nie mówi.

– Ale w domu...

– To skocz pan na jednej nodze, bo zwariujemy w tych ciemnościach.

Skoczył. Żona kończyła właśnie makijaż i właściwie była już gotowa do wyjścia. Ogolił się szybko i zmienił koszulę. O świeczce i tych w kanale przypomniał sobie, gdy dobrze po północy wrócili z imienin. – Eeee – skonstatował filozoficznie – ich broszka; dali się wpuścić w kanał, to niech siedzą. – I zasnął.

JAN BRZÓZKA

Ze starego portfela

1 Ze starego portfela, w którym około końca roku zawsze robię porządki, powyciągałem różne świstki, na jakich zazwyczaj notuję obserwacje bieżące do późniejszego wykorzystania. Lektura tych gryzmołów świadczy, że większość twórczych pomysłów w ogóle nie nadaje się do wykorzystania i powinny na zawsze pozostać w portfelu, co polecam uwadze zwłaszcza młodych poetów, którzy masami mnie nachodzą ze swoimi utworami właśnie napisanymi na świstku pod wpływem impulsu w autobusie.

Czas – Młodzi Twórcy – to juror najlepszy; właśnie dzięki niemu dziś wiemy, że cezar Kaligula nie powinien pozostać przy władzy nawet pół dnia. Czas pozwoli i wam zrozumieć, że te wasze dzieła z autobusu są papierem równie bezwartościowym jak moje papierzyska w portfelu, łącznie ze znalezioną tam dziesięciozłotówką.

Ale – szkoda każdego ziarna, które może wydać plon – jak mówił jeden agronom do jednego sekretarza, bo chciał, żeby sekretarz mile go wspominał. Więc i ja, co mogę z tych moich twórczych obserwacji rewaloryzuję i puszczam w obieg ze znakiem równej świeżości, jak ta opona bieżnikowana, którą jakiś chciał mi sprzedać za osiemnaście, aż go musiałem przepędzić kropidłem.

2 Ogłoszono przepis wyznaczający dni wolne od pracy w roku 1988. Nie powtarzam ich, bo wszyscy już je znają, dodam tylko, że pozostałe dni i godziny wolne od pracy wyznacza sam pracownik w porozumieniu z koleżanką biurową Stefą, bądź z warsztatowym Józwem. Dni te powinny przypadać na sytuacje specjalne, kiedy to akurat mamy bardzo ważne sprawy osobiste albo bardzo zły humor, przy jednoczesnym bardzo dobrym humorze koleżanki Stefy, bądź Józwa.

Oczywiście i tu obowiązuje uczciwość i sumienność zawodowa. Ilość tych dni wolnych nie może przekraczać dwustu w roku i w żadnym razie nie powinny przypadać one na dni wypłat poborów, podwyżek, nagród i rewaloryzacji oraz na dni imienin tych spośród koleżeństwa, którzy zwykli stawiać koleżeństwu kawę i pączki lub wódkę.

3 W zapisach swych znalazłem również hasło „wenta w Żerkowie" i obecnie złamanie tego szyfru zajęło mi trochę czasu. A więc wenty w Żerkowie odbywały się przed wojną w parku przy ruinie pałacowej i bardzo różniły się od współczesnych festynów handlu, usług, twórczości nieprofesjonalnej oraz obrotu przedwojennymi rusztami, aniołami bez skrzydeł, zegarkami bez sprężyny i orderami „Pour la Merite" na dzisiejszych osiedlach. Na osiedlach mianowicie po zakończeniu festynu już nie ma nic poza czystą substancją mieszkaniową, podczas gdy w Żerkowie po wencie trawa stała wciąż jak żywa – stała nawet pałacowa ruina. Naprawdę nie przypominam sobie, aby w czasie wenty choć raz obalono jakiś dąb lub żeby porąbano mostek na strudze albo potopiono w strudze ławki.

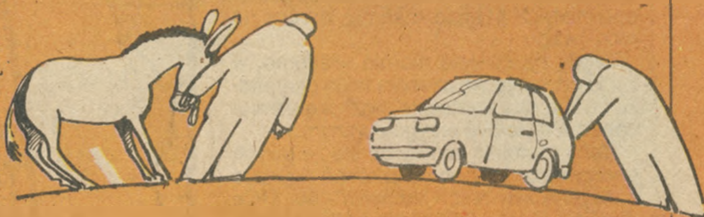
Ale nie o tym chcę mówić. A więc: na wentach w Żerkowie najważniejsza była loteria i losowanie nagród. Otóż zupełnie przypominają żerkowskich wentowiczów nasi piłkarze oraz działacze i sprawozdawcy piłki, którzy przez cały rok żyją emocją, żeby tylko zakwalifikować się do europejskich pucharów. Podejrzewam właśnie, że wcale im nie idzie o to, żeby w tych pucharach grać. Oni chcą tylko wziąć udział w losowaniu i żeby to pokazała telewizja.

W Żerkowie w parku telewizji nie było, ale losowanie było równie emocjonujące. Kto wie – może nawet było bardziej emocjonujące bo w Żerkowie w wyniku losowania można było wygrać funt cukru i nocnik.

4 Idźmy dalej w głąb portfela. Amerykański magazyn „Extra" przepytał kiedyś znane tam osobistości na okoliczność, jakim to zajęciom by się poświęciły w razie nagłej, a kompletnej plajty? Przeróżne tam miano pomysły. Pani Barbara W., spikerka telewizji oraz dyktatorka telewizyjnej mody zarabiająca około miliona dolarów rocznie w razie plajty najchętniej by została przedszkolanką, a kolejny milioner aktor Yul B. zaplanował na taką ewentualność spokojne dozorstwo na parkingu.

Gdyby u nas na pomysł podobnej sondy wpadł któryś z naszych extra-magazynów, żadna z naszych osobistości pomysłów na wypadek kompletnej plajty nie miałaby prawdopodobnie żadnych. U nas na temat, co zrobić ze splajtowaną osobistością pomysły muszą mieć inni. Przeważnie lokują splajtowanego na czymś, co jeszcze nie splajtowało, a więc w odpowiednich rękach być może jednak splajtuje.

JANUSZ PRZYBYSZ



ROBERT DĄBROWSKI

poczta karuzeli

Jagodziński i inni serio

Dolnośląskie Towarzystwo Muzyczne we Wrocławiu zawiadomiło nas, że działający tam kabaret „My" zaprasza na swój nowy program. Teksty napisali: H. Jagodziński, A. Kreczmar, M. Łebkowski, K. Łojan, B. Miecugow, A. Waligórski, S. Werner, J. Zalewski. Wśród wykonawców – znany również z łamów „Karuzeli" – Henryk Jagodziński.

Tytuł programu „Pół żartem, pół serio" przypomina nam znakomitą komedię filmową z M. Monroe, T. Curtisem i J. Lemnonem. Mamy nadzieję, że twórcy kabaretu przejęli świadomie z pierwowzoru nie tylko tytuł ale również spróbują nawiązać do jego autentycznego komizmu i perfekcji wykonawstwa. Jeśli uda się to choćby w części to zabawa zapewniona.

(A.Z.)

KAROL BADZIAK

Jak brać łapówki?

Żeby nadrobić deficyt rad praktycznych, pozwolę sobie dziś przekazać parę uwag dotyczących brania łapówek. O dawaniu nie ma potrzeby wspominać, gdyż takiego zjawiska się u nas nie notuje. Nie ma więc sensu zajmować się czymś, co nie istnieje. Ja na przykład żyję ponad pół wieku i nikt mi cholera nie zaproponował żadnej łapówki, a przecież chętnie bym wziął. A może za granicą gdzieś dają?

Z tego względu, że w Polsce łapówek nikt nikomu nie daje (ostatnią osobą była jedna matka ze Szczecina, która chciała przekupić rektora, aby przyjął jej syna gamonia do Wyższej Szkoły Rolniczej, przedostatnią zaś matka pewnego maturzysty, który co prawda dostał się na pierwszy rok studiów, ale przed rozpoczęciem nauki miał obowiązek przepracować miesiąc w fabryce na tzw. praktykach robotniczych. Matka ta chciała nawet zapłacić dyrektorowi zakładu, w którym jej pociecha miała odbyć tę praktykę, traktowaną w rodzinie przyszłego magistra inżyniera jako katorga. Dyrektor, niestety, nie przyjął od niej pieniędzy, gdyż miał wprost przeciwny nawyk; otóż w jego przedsiębiorstwie pieniądze za pracę się raczej ludziom daje, a nie od nich bierze) zajmiemy się bardziej realną, a nie abstrakcyjną stroną zagadnienia, czyli techniką przyjmowania łapówek, zjawiska co prawda zanikającego, przekształcającego się raczej w wymianę prezentów, przysług i usług. Malkontent mógłby tu dostrzec określoną niedożeczność, a mianowicie taką, że trudno brać jak nie dają. Malkontenci nad Wisłą jednak są w mniejszości i optymistyczna większość nie zwraca na nich uwagi.

Nigdy na świecie nic nie wiadomo; w życiu zdarzają się czasem takie przypadki, że i do nas szczęście może się uśmiechnąć. Warto być przygotowanym.

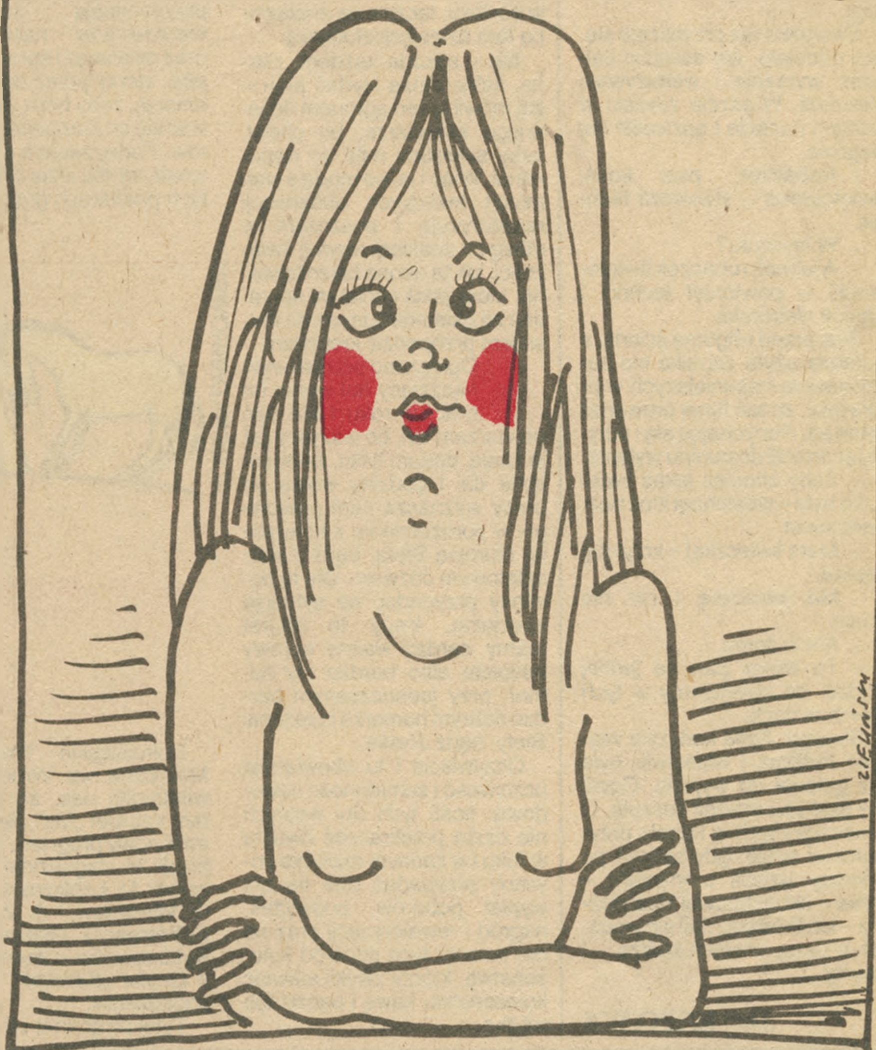
Żeby rzetelnie wywiązać się ze swych pedagogicznych obowiązków i nauczyć naszych czytelników łapówki brać, a nie dawać i jednocześnie nie narazić się w trakcie szerzenia tej pożytecznej wiedzy jakiemuś personelowi szpitala, jakiemuś egzaminatorowi-inspektorowi wyobraźmy sobie, że jesteśmy np. funkcjonariuszami rumuńskimi, nie, lepiej na przykład funkcjonariuszami drogówki południowoafrykańskiej. Zaczailiśmy się za palmą, a tu akurat szosą z Johannesburga do Kapsztadu mknie fiat 126p z polską rejestracją i to z niedozwoloną szybkością 39 km/godz, gdy tam obowiązuje minimum 40 km/godz. Zatrzymujemy rozpędzony pojazd i żądamy dokumentów, a to: dowodu osobistego i rejestracyjnego, prawa jazdy, talonów na benzynę itp.

Wykroczenie jest ewidentne, wymierzamy karę – ichnie 1500 zł. Informujemy o tym kierowcę szalonego pojazdu i odchodzimy na kwadrans do swych służbowych czynności. Ten kwadrans jest niezbędny dla posiania w kierowcy niepokoju, zwątpienia i skruchy. Po 15 minutach oświadczamy, że w swej wielkoduszności zmniejszyliśmy karę o 500 zł i wręczamy mu mandat opiewający na złotych 500.

Genialność tego pociągnięcia polega na tym, że wszyscy tu odnieśli korzyść. Kierowca jest szczęśliwy, bo upiekło mu się 500 monetarnych jednostek, skarb afrykańskiego państwa został wzbogacony o drugie ichnie 500 zł i my jesteśmy zadowoleni, jako że trzecie 500 zł znalazło się w naszej kieszeni. Nastąpił sprawiedliwy i równy podział gotówki.

Tak właśnie wygląda z punktu widzenia łapówkobiorcy sprawiedliwość społeczna, zwana niekiedy również wtórnym podziałem dochodu narodowego. Wyższość tej wyrafinowanej metody nad prostackim łapówkarstwem jest oczywista. Przecież tu nikt nie stracił złamanego szeląga, a wszyscy zarobili na c z y s t o. Nie wstydzę się tego słowa, bo jest to rzeczywiście czysta robota, jako że nadzwyczaj bezpieczna, a i sumienie pławi się w komforcie.

Na ogół z żalem rozstaję się ze swoimi tajemnicami, które są jedynym dorobkiem mego bogatego w doświadczenia życia. Ale czego się nie robi dla przyjaciół. □



JAN ZIELIŃSKI

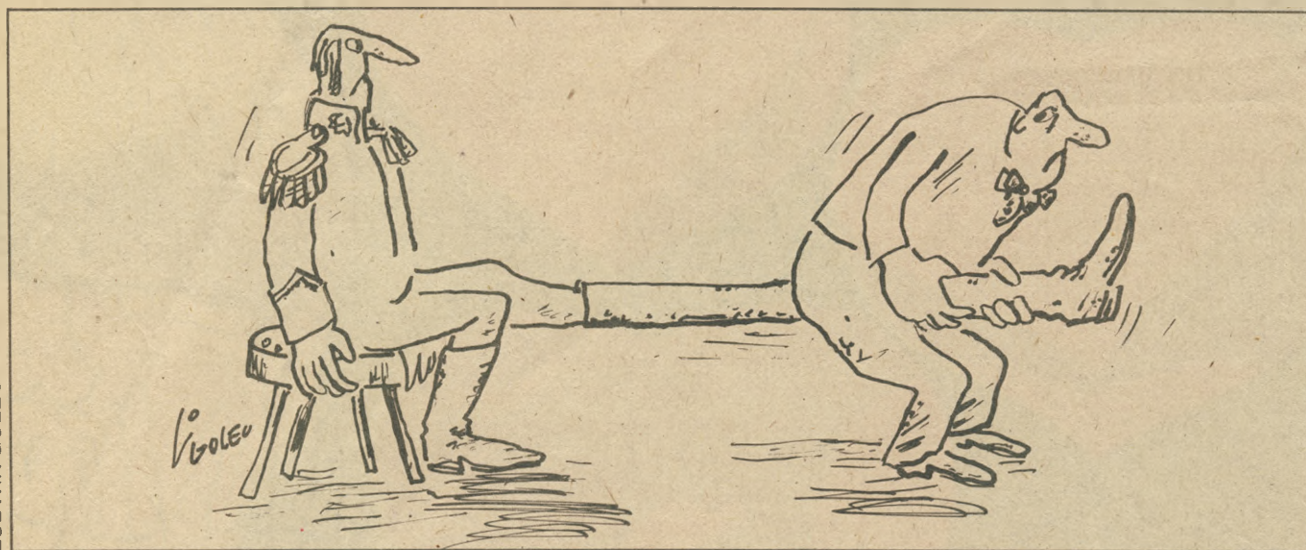
JÓZEF HAŃSKI

Zawody w Suchej Dolinie

Szliśmy ostro od startu. Pierwsze przewężenie i uskok. Dobrze! Nogi pracują jak sprężyny. Teraz w lewo, gwałtowne przejście w prawo i stromo w dół. Balans. Nieźle. Trudniejszy fragment. Teraz szusem i w prawo. Pióropusz śniegu. Zbyt mocno na krawędziach. Psiakość! Błąd. Zawodnik w czerwonej kurtce znalazł się przede mną. Na ostatniej prostej nie ma już szans na odrobienie tych ułamków sekundy. On – tuż za nim ja. Miejsce nie jest złe. Utrzymać się. Skoncentrować maksymalnie. Stworzyć niewidzialne wiązanie: On – ja. Trzymać się. Jeszcze trochę. Jest dobrze. Czerwona kurtka. On – ja. W tym momencie, z lewej (przysiągłbym – nie było z lewej nikogo) wyszedł junior w szarym kombinezonie. Szary wilk. O, nie bratku! Do przodu! Junior w determinacji wypiął narty i dał szusa przed nas. Zaskoczył nową techniką. Nie na długo. Lekko przykantowałem, rotacja biodrami – tak być nie może, nie jestem nowicjuszem, on musi stracić przy wpięciu. Tak jest. Teraz! Ostatni wysiłek. Ręce. Odbić się. Zablokować. Junior za mną, zawodnik w czerwonej kurtce też. Walczą. Jeszcze. Pierwszy! Pierwszy!!! Pierwszy dopadłem do orczyka.

Odchyliłem lekko głowę w stronę skłębionej kolejki. W oczach Juniora błyszczało zdziwienie i wściekłość. Jego wzrok mówił: „Czekaj! Następnym razem..." Ano, zobaczymy.... □

LUDWIK GOLEC



JAROSŁAW GRZELKA



JERZY DĘBSKI

Klub

W Londynie, przy Walkerstreet 36, II piętro, mieści się osobliwy klub. Klub ten należy do formalnie zarejestrowanego i uznanego stowarzyszenia ludzi, którzy propagują tezę, że Ziemia jest płaska jak naleśnik. W dobie podróży kosmicznych i zdjęć satelitarnych uważać ich można za pozbawionych rozumu. Ale tylko do czasu, gdy się przekroczy progi klubu. Bo jakież tam mięciutkie fotele! Jakiż tam piękny wystrój! Jakaż tam sprawna klimatyzacja! Jaki szeroki wybór trunków i jaka uprzejma obsługa! Pełny relaks i niczym niezmącony spokój, bo kobiet się nie wpuszcza.

Po naradzie w gronie moich uczonych kolegów, wystąpiłem do naszych władz z wnioskiem o przydział lokalu i o formalne zarejestrowanie stowarzyszenia ludzi wyznających pogląd, że to Słońce kręci się dookoła Ziemi, a nie odwrotnie. Lokal dostałem natychmiast. Tyle, że drzwi są bez klamek, łóżko twarde, a w dodatku każą łykać jakieś gorzkie piguły. Dziwna sprawa. □

ROK m

WŁODZIMIE

STYCZEŃ

Z czym styczeń ma styczność? –
Z pierzynką śniegową!
Śpi pod nią królewna,
a Śnieżką ją zowią.
Złóż całus gorący
na zimnej jej twarzy,
a lody roztopisz,
by miłość rozżarzyć!

LUTY

Szyj buty na luty,
szyj z lisów futerka,
już panna ochoczo
na futro to zerka.
Lecz śpiesz się z miłością,
nie żałuj poświęceń,
bo luty jest krótszy
od innych miesięcy!

MARZEC

Na marca uroki
czekają już koty,
na miłość marcową,
i pierwsze zaloty.
A kociak powiada:
nawyki to złe są!
Ja kocham rok cały
bez względu na miesiąc!

KWIECIEŃ

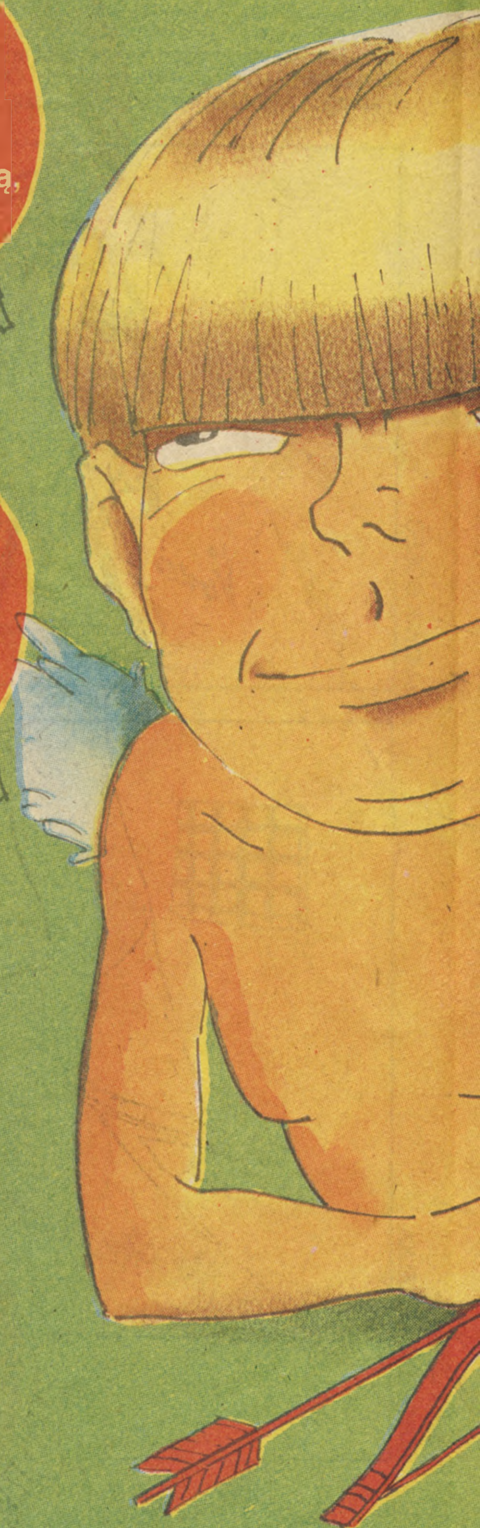
Kwiecisty nasz kwietniu!
Przystrajasz nas w kwiatki,
więc cieszą się panny,
radują mężatki.
I każda rozkwita
jak kwiatek na łące –
tam trutnie już krążą
miłości pragnące.

MAJ

Maj – miesiąc kochanków,
maj – miesiąc Erosa,
bzów, spotkań, spacerów
i wiatru we włosach.
Maj – żar pocałunków
miłosnych podwaja –
za mało jest w roku,
za mało jest maja!

CZERWIEC

W strój z płatków makowych
ubiera się czerwiec,
czerwonych jak wargi,
więc wiatr je poderwie
i damie czerwiennej
pod stopy zaniesie –
wróż sobie z nich miłość,
nie czekaj na jesień!



ilustr. HALINA SIBIŃSKA

WŁODZIMIERZ SCISŁOWSKI

ROK miłosny



cią,

LIPIEC

Pszczół sennym brzęczeniem
objawia się lipiec,
miód pachnie lipowy
i słońce chce przypiec.
Zrób napój miłosny,
już pachnie kwiat lipy:
by zwabić swą pszczółkę,
sam najpierw go wypij!

SIERPI

Księżyca sierp
rozpostarł nad
więc lato uciek
ze strachu się
A szkoda tak la
a szkoda tak m
lecz przegrasz
swój bój z kale

Już wrzosy lil
swym kuszą k
wrzos, dziewc
dobrany to ter
Na wrzosach t
a dłonie im sp
powiewna i sr
babiego nić la

Październik p
rozwiewa po
ty wdzięki roz
niezgorzej sw
I lśnisz jak Pl
jesienne na n
więc jak cię o
jak zdobyć m

LISTOPAD

Listopad bezwstydnie
pogubił już liście!
Czy również figowe? –
No, tak! Odgadliście!
Figura Wenery
bez listka też stoi
i już nie ukrywa
tajemnic tu swoich!

Już grudzi
ku nam cio
i znowu ro
rzecz przyl
Lecz życzy
chłopakom
by miłość z
za rok pod

MIERZ SCISŁOWSKI

miłosny



LIPIEC

Pszczół sennym brzęczeniem
objawia się lipiec,
miód pachnie lipowy
i słońce chce przypiec.
Zrób napój miłosny,
już pachnie kwiat lipy:
by zwabić swą pszczółkę,
sam najpierw go wypij!

SIERPIEŃ

Księżyca sierp sierpień
rozpostarł nad głową –
więc lato ucieka,
ze strachu się chowa.
A szkoda tak lata,
a szkoda tak marzeń,
lecz przegrasz na pewno
swój bój z kalendarzem!

WRZESIEŃ

Już wrzosy liliowe
swym kuszą kobiercem:
wrzos, dziewczę i chłopiec –
dobrany to tercet!
Na wrzosach tak miękko,
a dłonie im splata
powiewna i srebrna
babiego nić lata.

PAŹDZIERNIK

Październik paździerze
rozwiewa po świecie –
ty wdzięki rozsiewasz
niezgorzej swe przecież!
I lśnisz jak Plejady
jesienne na niebie,
więc jak cię odnaleźć,
jak zdobyć mam ciebie?

LISTOPAD

Listopad bezwstydnie
pogubił już liście!
Czy również figowe? –
No, tak! Odgadliście!
Figura Wenery
bez listka też stoi
i już nie ukrywa
tajemnic tu swoich!

GRUDZIEŃ

Już grudzień po grudzie
ku nam cicho sunie –
i znowu rok minął,
rzecz przykra jest w sumie!
Lecz życzyć wypada
chłopakom, dziewczynkom,
by miłość znaleźli
za rok pod choinką!

MICHAŁ NABIAŁEK

Incydent

Ocknął się z drzemki. Leniwie rozprostował krótkie, grube nogi, przetarł powieki serdelkowatym palcem i nie unosząc głowy z poduszki spojrzał na mnie błękitnymi oczkami.

...Błękitnymi jak co?

– Niebo nad Neapolem?

– Dwa pięciokaratowe szafiry?

– Morskie fale, pochłaniające tureckie galery w czasie bitwy pod Lepanto?

– Niezapominajki?

– Refleks światła na lufie pistoletu kaliber 9,6 mm?

Nie mogłem znaleźć adekwatnego porównania; jego na poły zatopione w pulchnych policzkach oczy były po prostu obojętne, bez żadnego wyrazu.

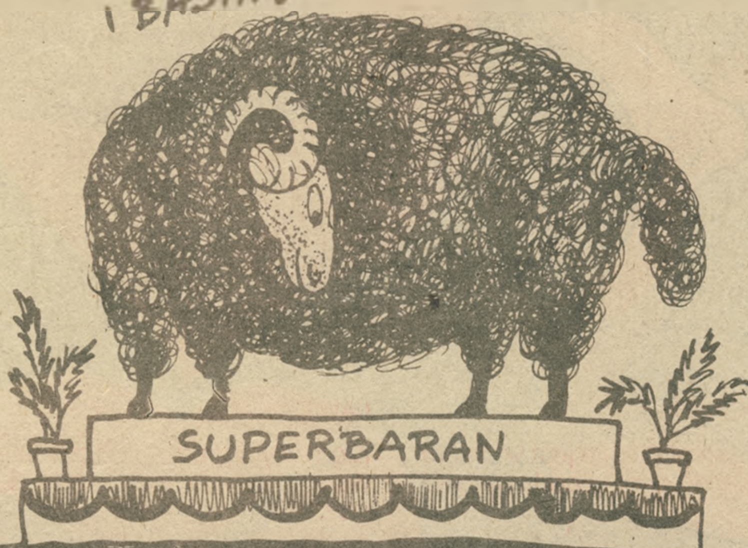
Uśmiechnąłem się, coś powiedziałem, ale nie odwzajemnił mojego uśmiechu. W jego twarzy, na pozór nieruchomej, zaszła jednak trudno uchwytna zmiana: patrzył na mnie teraz uważnie i z pewnym, rzekłbym, specyficznym upodobaniem.

– Gdzie ja już widziałem podobne spojrzenie? – spytałem w myśli sam siebie.

Po chwili skojarzyłem: tak właśnie, z odcieniem pożądliwego zniecierpliwienia, spoglądał na króliki w klatce duży pies sąsiadów, taki wzrok czuć musiał na sobie londonowski bohater, otaczany przez wilki przy dogasającym ognisku.

Spróbowałem wrócić do przerwanych obliczeń, ale mimo woli ponownie zerknąłem w jego kierunku znad kartki papieru. Te czarne źrenice, okolone błękitnymi tęczówkami, nie pozwalały skoncentrować myśli na wykonywanej pracy, przyciągały z nieodpartą mocą. On tymczasem usiadł. Uczynił to z wyraźnym wysiłkiem. Odsapnął. W milczeniu poruszył bezzębnymi ustami, jakby przeżuwał coś miękkiego, kleistego, jakąś niekształtną, galaretowatą masę. Nagle, bez widocznej przyczyny, naprężył wszystkie mięśnie; jego twarz poczerwieniała gwałtownie, a z gardła wydarł się dziki wrzask.

Zerwałem się, chwyciłem butelkę. Jeszcze moment – i rozwarte, zaślinione wargi chciwie zacisnęły się na smoczku. Ostatecznie był moim synem, miał dopiero sześć miesięcy i powinien od czasu do czasu dostać trochę mleka. □





ANDRZEJ GRUN

MIECZYSŁAW BORSUK

Iza

Siedziałem z Olem w „Kryzysie" (dawniej „Kaprys"). Lokal był siódmej kategorii. Dawało się jednak zauważyć, że ambicją kierownika jest zaokrąglić tę liczbę przynajmniej do dziesięciu. Również serwowane potrawy i wystrój wnętrza w pełni uzasadniały nazwę.

Ona siedziała przy stoliku pod oknem. Gdybym powiedział, że jest brzydka, obraziłbym wszystkie brzydkie kobiety. Olo grzebał widelcem w talerzu. Był bardzo zaaferowany.

– Przyroda to tak wykombinuje – powiedział nagle – że się w pale nie mieści. Zamówię jeszcze jedną porcję. Może będzie samiec.

– To nie przyroda, Oło! – uspokoiłem go. – To w kuchni. Ale spójrz, tam przyroda musiała się nakombinować.

Olo ostrożnie odwrócił głowę, a potem spojrzał na mnie. Cicho brzęknął łańcuch łączący szklanki z blatem stołu.

– Ma piękne oczy – powiedział po chwili. – Szczególnie to niebieskie.

Zamówiliśmy następną kolejkę. I wtedy ona założyła nogę na nogę. (Przez dziury w rajtuzach zauważyłem jak bardzo są owłosione.)

– Założyła nogę na nogę – poinformowałem Ola.

W odpowiedzi wychylił musztardówkę i obejrzał się. Ona przesłała nam uśmiech.

– Z niejednego pieca musiała jeść chleb – stwierdził z przekonaniem Olo. – Ale w sumie niebanalna kobieta. Taka nietuzinkowa.

– O, tak – zapewniłem go.

Olo skinął na kelnerkę.

– Już pędzę – zawołała wesoło.

– Pani sama pędzi? – zapytał, gdy już była przy naszym stoliku.

– Nie, z kierownikiem. Co podać?

– To samo. I dla tej pani też szklaneczkę.

– Coś ty, Olo?... – próbowałem zaprotestować. Nie słuchał.

Kelnerka przy stoliku pod oknem tłumaczyła coś nieznajomej wskazując dyskretnie w naszym kierunku.

Niebanalna kobieta pokiwała nam ręką i wstała. (Przez chwilę wydawało mi się, że stojąc jest jak gdyby odrobinę niższa.)

Podeszła do nas.

– Można? – Usiadła. (Tak, teraz nie miałem wątpliwości: siedząc była wyższa.)

– Mam na imię Izabella, ale mówcie Iza.

– Piękne imię – wybąkałem.

– Prawda? Mama mówiła, że pasuje do mnie.

– Oczywiście – Olo był wniebowzięty. „Przecież chyba nie zwariował?" – pomyślałem.

– A co z mamusią? – spytałem tak sobie.

– Powiesiła się w dniu moich urodzin – oczy jej zwilgotniały.

Olo delikatnie pogłaskał Izę po ramieniu i kiwnął na kelnerkę. Przypędziła natychmiast. Było mi już wszystko jedno. Iza i Olo nie zwracali na mnie najmniejszej

uwagi i szeptali coś do siebie ściskając się za ręce. W sumie zrobiło się miło: kelnerki pędziły, orkiestra grała, nawet kierownik wypił z nami symboliczną lampkę.

Przed północą Olo wstał od stolika.

– Pójdziemy już – powiedział – spotkamy się jutro. I poszli.

Wracałem do domu pełen najgorszych przeczuć. Co będzie gdy Olo wytrzeźwieje i zobaczy ją, nie daj Boże, nagą? (szatniarz, który przecież niejedno widział, na widok Izy podciął sobie żyły pięciozłotówką). A Olo jest taki wrażliwy.

Długo nie mogłem zasnąć.

...Ola spotkałem nazajutrz. Szedł z torbą pełną zakupów.

– Cześć – zawołał.

– Cześć. Dotarłeś szczęśliwie do domu? – zacząłem ostrożnie dopytywać.

– Do domu pojechaliśmy taksówką.

– Pojechaliście?

– Tak, zaprosiłem Izę na herbatę. No, a później, wiesz: zrobiło się późno, więc została do rana.

– Do rana? – wykrztusiłem. – Chyba nie powiesz, że ty i ona?... ty z nią...

– To była najpiękniejsza noc w moim życiu – mówił Olo z błyskiem w oku. – Leżałem w łóżku, a Iza w łazience...

– Spała w wannie? – odetchnąłem z ulgą.

– ...kąpała się. Po chwili otworzyły się drzwi...

– Milicja? – miałem jeszcze nikłą nadzieję.

– ...od łazienki, nie przerywaj. Otwierają się drzwi i wchodzi ona. Miała na sobie tylko moją koszulę. Mówię ci, stary, co za widok. Nie wyobrażasz sobie.

Bez trudu mogłem to sobie wyobrazić. Patrzyłem na Ola ze współczuciem. Zdziwił mnie brak siwych pasemek na skroniach Ola. Przymknąwszy oczy, mówił dalej:

– Nogi...

– ...owłosione... – chciałem uzupełnić.

– ...piękne, długie nogi, opalone na brąz. I oczy, bracie oczy...

– ...jedno piwne – powiedziałem bez przekonania.

– ...włosy spływające aż na ramiona. Zresztą, co ja ci będę mówił, widziałeś ją przecież nieraz, na zdjęciach.

– Na zdjęciach?

– Tak. Znasz Izabellę Cichociemną – Ptak?

– Tę aktorkę?

– No właśnie. Wracała z planu i postanowiła nie zdejmować charakteryzacji. Chciała po prostu spokojnie wypić kawę. Wiesz, ci wielbiciele są tacy natrętni.

– Wiem. (Sam należałem do nich.)

– Mówiłem ci, że ona jest takia niebanalna. No nic; lecę: Wpadnij kiedyś. Iza się ucieszy.

I poszedł. Świnia! □





„Dziki w goździkach"

Senior „karuzelowych" poetów, Tadeusz Fangrat, kolejnym tomikiem dał znać, iż nie zamierza spocząć na laurach. Oto w ostatnich tygodniach ubiegłego roku ukazał się wybór fraszek tego autora. „Dziki w goździkach", gdyż taki właśnie tytuł nosi książeczka wydana w „Bibliotece Satyry", zawierająca sześć działów: „Żłoby naszej doby", „Obyczaje miłości", „Dziki w goździkach", „Gaj Apollina", „Portrety à la minute" i „Pod Bachusem". Z tego ostatniego przytaczamy kilka fraszek na dowód, że nawet w tak pozornie ogranej tematyce Fangrat pozostaje twórczy i oryginalny.

(p.)

BEZ POJĘCIA

Niejeden pojąć nie jest w stanie,
że pijąc do dna – spada na nie.

ŚWIĄTECZNY OBYCZAJ

Najpierw jedz i pij „na zdrowie"
potem dzwoń – po pogotowie.

WODA NA MŁYN

Wodą na młyn brudnego słowa
zazwyczaj czysta wyborowa.

UPRZYTOMNIENIE

Kieliszkowe bractwa
Nie mnożą bogactwa.

NAWIEDZENIE

Kiedy wyciągam wódę z butelki
wstępuje we mnie zły duch wszelki.

O DEMONOLOGII

Niejeden strach
skutkiem wysuszonych flach.

UCZYNNY

Tak w uczynności zagorzały,
że wszystko zrobi dla gorzały.

Tadeusz Fangrat „Dziki w goździkach" – Czytelnik, Warszawa, 1987.

Oskarżyciel publiczny

– Panie prokuratorze – zwracam się do prokuratora [illegible]WSKIEGO – **w odczuciu społecznym panuje przeświadczenie, że każdy, kto pełni funkcje oskarżyciela publicznego, to człek z gruntu groźny, surowy, nawet dla własnej żony i kompletnie wyzuty z poczucia humoru. Jak to jest naprawdę?**

– Panie redaktorze, a jak pan sądzi, czy taki stereotyp prokuratora zgodziłby się udzielić wywiadu „Karuzeli"?

– Może pan jest wyjątkiem potwierdzającym regułę? Na ogół urzędnicy w naszym kraju są głęboko przekonani, że każdy najluźniejszy kontakt z humorem lub satyrą stanowi zagrożenie dla ich dostojeństwa.

– Nie sądzę, żebym się tak bardzo odróżniał od swego środowiska zawodowego, które – zapewniam – składa się z ludzi spoglądających na świat nie tylko przez pryzmat swych urzędowych czynności, wymagających rzeczywiście powagi, lecz dostrzega także żartobliwą stronę ludzkiej natury.

– Podejrzewam, że prokuratorzy przepadają raczej za czarnym humorem, prawda?

– Nie jest nam obcy ten typ humoru, a i w pracy często mamy do czynienia z humorem ambiwalentnym, sytuacyjnym, o ciemnej barwie. Oskarżałem niegdyś człowieka o nieumyślne spowodowanie ciężkiego uszkodzenia ciała, co nie zdaje się być rzeczą wcale zabawną. Otóż sprawca tego czynu postanowił popełnić samobójstwo. Wyskoczył z okna, lecz tak niefortunnie, że spadł na konwojenta znajdującego się na samochodzie ciężarowym podjeżdżającym akurat pod jego dom. Okaleczył okrutnie konwojenta, lecz jemu samemu nic się nie stało, gdyż upadek zamortyzowały bele bawełny, którymi ów pojazd był wyładowany. Jest w tym tragicznym zdarzeniu na pewno i szczypta komizmu i trudno się nie uśmiechnąć nawet poważnemu prokuratorowi, jako że czasem życie bywa weselsze od nas.

– Panie prokuratorze, a jakiej zażądałby pan kary dla oskarżonego, który w dość niecodziennych okolicznościach spowodował śmierć sąsiadki? Otóż mężczyzna ten zniecierpliwiony długą nieobecnością żony poza domem, postanowił ją nastraszyć i w tym celu zainscenizował swą śmierć przez powieszenie. Udało mu się to tak doskonale, że żona, widząc go wiszącego na sznurku, aż zemdlała z wrażenia. W tym momencie weszła do mieszkania sąsiadki i spostrzegłszy, że jedno wisi, a drugie leży, podbiegła do szafy i zaczęła zgarniać futra. Ponieważ była odwrócona tyłem do rzekomego denata, ten nie mógł się oprzeć i kopnął ją w pośladek. Zaskoczona kobieta ze strachu zmarła na udar serca.

– Ponieważ mamy tu do czynienia z nieumyślnym spowodowaniem czyjejś śmierci, domagałbym się zastosowania okoliczności łagodzących.

– A czy opowiadanie dowcipów politycznych jest u nas karalne?

– Karalne jest tylko opowiadanie dowcipów z brodą.

– Robiłem niedawno wywiad z adwokatem; twierdził, że zdarza mu się bronić czasem ludzi niewinnych. Czy prokuratorowi zdarza się też takich oskarżać?

– W wyniku rozprawy sądowej zdarzają się czasem uniewinnienia, ale nie zawsze dlatego, że oskarżony rzeczywiście nie popełnił przestępstwa, lecz dlatego został uniewinniony, bo nie było wystarczających dowodów jego winy. Dowody bowiem w postępowaniu karnym ocenia wyłącznie sąd i może się zdarzyć – i zdarza się – że dowody, które prokurator przedstawił, uważając je za przekonywające, nie znajdują uznania w oczach sądu.

– Przyzna pan, że wyroki uniewinniające nie przynoszą jednak zaszczytu prokuraturze. Może to dlatego prokuratorzy tak często zakładają rewizję?

– Oskarżyciele wcale nie odwołują się częściej do wyższych instancji niż obrońcy i niż tego wymaga zadośćuczynienie poczuciu sprawiedliwości. Orzeczenie uniewinniające może nastąpić nie tylko w wyniku błędnej oceny prokuratury, ale także błędnej oceny sądu, może też być wynikiem pewnych zdarzeń na rozprawie. Biegły na przykład zmienił swoją opinię, albo świadek zmienił swoje zeznania.

– Lubi pan Mikołaja Gogola?

– Lubię, choć wiem, że on prokuratorów nie darzył sympatią.

– Bo to byli carscy prokuratorzy; dziś by zapewne zmienił zdanie. Ale ja chciałem o czym innym. Zauważyłem, że wszystkich swoich rozmówców traktuję bardzo agresywnie, a z panem obchodzę się wyjątkowo łagodnie. Wszyscy wobec prokuratorów tak potulnie się zachowują?

– Nie, tylko ci, którzy mają coś na sumieniu.

– Panie prokuratorze, ludzie poszkodowani przez złodziei, właściciele okradzionych mieszkań, skradzionych samochodów, są przekonani, że nasze prawo jest zbyt łagodne, inni z kolei twierdzą, że jest zanadto surowe. A co sądzi prokurator?

– Uważam, że rzecz nie w kodeksie karnym, bo ten jest sprawdzony, lecz w polityce karania. Według mnie najsłuszniejsza jest zasada rozwarstwiania przestępczości, co w praktyce oznacza, że za drobne przestępstwa powinno się stosować kary łagodne, za poważne przestępstwa – kary surowe.

– Ustawa o szczególnej odpowiedzialności jest właśnie w opozycji do wyznawanej przez pana zasady.

– Ale była ona w pewnym momencie konieczna. Jest to ponadto ustawa epizodyczna.

– Co pan sądzi o starej maksymie, że lepiej stu winnych wypuścić na wolność niż ukarać jednego niewinnego?

– Jest słuszna.

– A jaką prywatną zasadą kieruje się pan na co dzień w swej pracy i życiu?

– Ponieważ nasze prawo oparte jest na rozwiązaniach prawa rzymskiego, na co dzień stosuję właśnie rzymską maksymę: „Quidquid agis, prudenter agas et respice finem".

– Piękna zasada, ale któż dziś w naszym kraju zna prawdziwą łacinę. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał
KAROL BADZIAK

nasi ulubieńcy



RYSZARD SZYMCZAK

ROMAN POLAŃSKI

Wiek dwudziesty pierwszy

Któregoś dnia przyszli Koniowie, zaproszeni na resztki ze świątecznego stołu, przetworzone przez babcię w apetyczny żurek na kiełbasie i potrawkę z buraczkami. W telewizji zaczynał się właśnie ulubiony program Jacka „Kwant" zajmujący się problemami XXI wieku. Zgodziliśmy się obejrzeć.

Zaczęło się jak u nas, to znaczy od posiłku, z tym że w restauracji. Przy jednym stoliku siedział młody człowiek, nerwowo spoglądający na zegarek, przy drugim para – pan w słusznym wieku, ale pogodny i młoda osoba płci żeńskiej w wieku mniej więcej, ale bardzo smutna. Młody człowiek zamówił posiłek pełnowartościowy (zaraz podam), para zamówiła obiad z karty (będzie za pół godziny).

Młodemu człowiekowi podano elegancko i błyskawicznie na talerzyku... tabletkę i szklankę wody. Zapłacił, połknął, popił wodą i zadowolony powiedział: „to jest to".

– Coś podobnego, chory na żołądek, czy co? – zdziwiła się babcia.

– Nowoczesność – sprostował dziadek. – Żywność w pigułkach.

– I po to poszedł aż do restauracji?

– Poszedł po to, żebyśmy go mogli zobaczyć – wyjaśnił dziadek.

Chyba miał rację, bo młody człowiek uzasadniał swoją opinię. Spieszymy się coraz bardziej – mówił – jedzenie pochłania za dużo czasu. A w ogóle, wobec perspektyw przyszłości, tradycyjne jedzenie staje się anachronizmem. No bo jeśli zechcę lecieć na Księżyc, albo choćby na Antarktydę, to przecież nie będę woził wagonu jedzenia.

– Dlaczego on jest jakiś taki nerwowy? – spytała ciocia Helenka.

– Dlatego, że łyka w pośpiechu pigułki, zamiast spokojnie zjeść coś smacznego – wytłumaczyła babcia.

– A ja sądzę, że z powodu roli, którą gra wbrew własnemu przekonaniu – przedstawił swój punkt widzenia dziadek.

– Myślę, że pigułki nie zastąpią jedzenia – powiedział pan, któremu podano już zupę. Pozostaje tylko do rozwiązania problem mięsa, które trzeba będzie zastąpić innym białkiem.

Panienka grzebała łyżką w zupie bez przekonania.

– W XXI wieku będziemy mieli coraz mniej czasu, a pigułki nie zastąpią jedzenia, więc jak to będzie? – spytała.

– Będziemy kupować gotowe zestawy obiadowe – odparł pan.

– Takie co tylko wsadzić w kuchnię i mamy już gotowe? – upewniła się.

– Co za stosunek do kuchni i co za polszczyzna – obruszyła się babcia.

– A właściwie dlaczego w XXI wieku będziemy mieli coraz mniej czasu? – zaniepokoił się nagle Konio. – Przecież rozwój nauki, postęp techniki prowadzą między innymi do tego, byśmy mieli coraz więcej wolnego czasu.

– Pojęcia nie mam – zastanowił się dziadek. – Może ludzie XXI wieku będą się tak śpieszyć do tego wolnego czasu?

– Człowiek, który nieustannie się śpieszy, traci umiejętność odpoczywania i gubi sens tego, co robi – nieco sentencjonalnie powiedziała ciocia Helenka.

– A co w XXI wieku będzie się robić z wolnym czasem? – zainteresowała się Lila.

– Słyszałaś przecież, będziesz mogła wyskoczyć na Księżyc albo na Antarktydę – przypomniał jej dziadek.

– Po co? – skrzywiła się Lila. – Do kawiarni, na pigułkę z wodą?

– A ja wiem co ludzie będą robić w wolnym czasie w XXI wieku – pochwaliła się babcia. – Będą się leczyć. Bo od tego pośpiechu, od żywienia nie wiadomo czym, to nerwice, zawały, udary, wrzody żołądka...

– Przestań – zdenerwował się dziadek.

– Babcia ma rację – żywo potwierdziła Lila. – Jak tylko jestem głodna, to zaraz mnie boli głowa i ssie w żołądku.

Szybko nałożyliśmy sobie potrawki na talerze, a na ekranie tymczasem pokazywano przebogate źródła białka zastępczego. Po morzach i oceanach pływa przyszłość naszego pożywienia: glony, kryle, omułki i jeszcze różne takie. Obejrzeliśmy falujący na powierzchni wody kożuch z glonów i pale obrośnięte czarnymi skorupiakami.

– To już chyba będę wolał te duńskie wędliny ze słomy – oświadczył dziadek.

Ciocia Helenka pobiegła po encyklopedię, żeby zobaczyć co to jest omułek.

– Małż morski, osiadły tryb życia, przytwierdzony bisiorem do przedmiotów podwodnych – przeczytała, a następnie sięgnęła po inny tom, żeby zobaczyć co to jest bisior. Tam skierowano ją do hasła: szołdra. I tak od hasła do hasła, siedziała przy encyklopedii z godzinę.

W rezultacie dowiedzieliśmy się, że te omułki są znane od dawna i że będzie z nich dodatkowy pożytek. Są dostarczycielami trwałego złocistego włókna, z którego w starożytności i średniowieczu wyrabiano tkaniny. A przecież kiedy zabraknie mięsa, zabraknie i skór, więc potrzeba będzie więcej tkanin.

Wiek XXI zapowiada wiele interesujących odkryć.

TERESA WOJCIECHOWSKA



ANNA DZIEMIESZYŃSKA

skojarzanki

W niniejszym numerze prezentujemy nowy zestaw propozycji skojarzankowych fanów:

biurokraty – komisariat
bombowiec – wielka masówka
jednodniówka – poza żoną
myśliciele – zadumane bydlątko
popadajmy – wiernym
salonowy – nowa twarz
wiosenna – woźnica do klaczy
zawarte – przez rzekę
znachora – lekarza

Jerzy Michalak (Gubin)

banialuki – dziury w bańce
burmistrz – spec od ganienia
fujarka – brzydki Jarek
kubrak – bubel
kultura – seria z automatu
lekarka – lekarstwo Arkadiusza
parasol – dwie nutki „sol"
partytura – bycze przyjęcie
tankowiec – wodopój w górach
transakcja – w afekcie

Mariusz Wągiel (Żary)

parostatek – koniec zabawy
światowiec – pastwisko
Złotoryja – milczenie

Irena Wójcik (Kłaj)

branka – mokra Ania
domieszka – do Miecia
Frania – Anka uleciała
Praga – stój, Agnieszko!
przede – „d"
śpiewa – Ewa drzemie

Grażyna Matejek (Międzybórz Podh.)

baranki – Ani bar
firmament – niepewny interes
galman – mężczyzna w gali
kaskada – Ada w hełmie
kursantka – Antek szkoli
receptor – lekarz
synoptyka – potomek optyka

Marlena Bielicka (Gniew)

analiza – Ana, całuj!
lepianka – plastelina Ani
nabój – na front
nagabywać – striptizerka
tupet – popielniczka

Sylwester Sypel (Ropczyce)

dzbanecznik – mężczyzna noszący dzbany
płetwal – nurek
tapir – fryzjer

Danuta Niedźwiedź (Lublin)

żarna – masz ognia!
żłobkowanie – nocleg w izbie wytrzeźwień
Żuławy – korniki
żyroskop – podeptany weksel
żywiciele – hodowca bydła

Wojciech Ździebłowski (Lublin)

Opowiadane w kolejce linowej

– Czy to pogotowie ratunkowe? Skoczyłem z okna pierwszego piętra i skręciłem nogę. Co robić w tej sytuacji?
– Radziłbym znaleźć przyjaciółkę zamieszkałą na parterze.

*

Spotykają się przyjaciółki.
– Ależ ty masz wielkiego syna! – zdumiewa się jedna.
– To już prawie mężczyzna!
– Rzeczywiście, czas leci – zgadza się mama. – Wkrótce będę jego rówieśnicą.

*

Majster w samo południe zastaje murarzy w knajpie. W odpowiedzi na zarzuty szefa broni się przedstawiciel brygady:
– A pańskim zdaniem, kiedy mamy pić? Przecież codziennie pracujemy w nadgodzinach, tak, że do nocy człowiek nie wyściubi nosa poza kierat!

*

Do hotelu przyszedł Eskimos, który chce wynająć pokój.
– Niestety, wszystkie numery mamy zajęte – tłumaczy się recepcjonista.
– Nie znajdzie się nawet jedna wolna lodówka? – zapytuje z nadzieją gość.

*

Pewien szkocki sklep z obuwiem wystąpił z reklamą następującej treści:
„Wielka obniżka cen! Każdy klient nabywający u nas jeden but za 7,5 funta – drugi but otrzyma za darmo!".

*

– Jak pan sobie daje radę z piątką chłopaków? – zapytuje ktoś wielodzietnego ojca.
– Całkiem prosto. Kiedy zaczyna się rozróba karzę dziesięcioletniego Adasia. On wtedy przyłoży ośmioletnim bliźniakom, którzy pacyfikują siedmio- i sześciolatka... a wtedy jest święty spokój.

*

– Zdradzę panu sekret długiego życia – lekarz poucza pacjenta. – Należy codziennie jeść czosnek.
– Czy pan sądzi, panie doktorze, że ten fakt utrzyma się w tajemnicy? – powątpiewa pacjent.

*

Na giełdzie samochodowej sprzedawca wozu zapytuje potencjalnego klienta:
– Czemu pan się tak dziwi? Patrzy pan i patrzy na ten samochód jakby to było pierwsze auto, które pan zobaczył?
– Pierwsze auto... nie – powiada niedoszły nabywca. Ale sądzę, że to ten sam model.

*

– Piłka nożna, panowie, nigdy nie może się skończyć – wywodzi przy barze jeden z bywalców.
– Czemu tak myślisz? – zapytuje go sąsiad.
– No bo widzisz, chłopie, żonaci też się gdzieś muszą wykrzyczeć!

*

– Czy nie będzie pani przeszkadzać, jeżeli zapalę papierosa? – zapytuje współpasażerkę podróżny.
– Nie, pod warunkiem, że panu nie będzie przeszkadzać, kiedy z tego powodu zrobi mi się niedobrze.

*

– Pożycz mi tysiąc złotych, bo zapomniałem portfela.
– Tysiąca złotych nie mam, ale mogę ci pożyczyć bilet tramwajowy, żebyś mógł skoczyć do chałupy...

*

Po małżeńskiej kłótni On spakował swoje osobiste rzeczy i powiada:
– Utrzymujesz, że poświęciłaś mi najpiękniejsze lata. Odchodzę więc, żebyś nie twierdziła, że to przeze mnie zaczęły się te gorsze.

*

– Słabo mi się robi, kiedy pomyślę, jak wyjaśnię żonie, co robiłem przez całą noc.
– Co ją będziesz martwić, niech sama szuka dla ciebie usprawiedliwień.

*

– Co się ze mną stało? – zapytuje pacjent odzyskując przytomność po operacji.
– Spowodował pan wypadek samochodowy i konieczna była pomoc chirurgiczna.
– Czy to znaczy, że jestem w szpitalu?
– W przeważającej części!

*

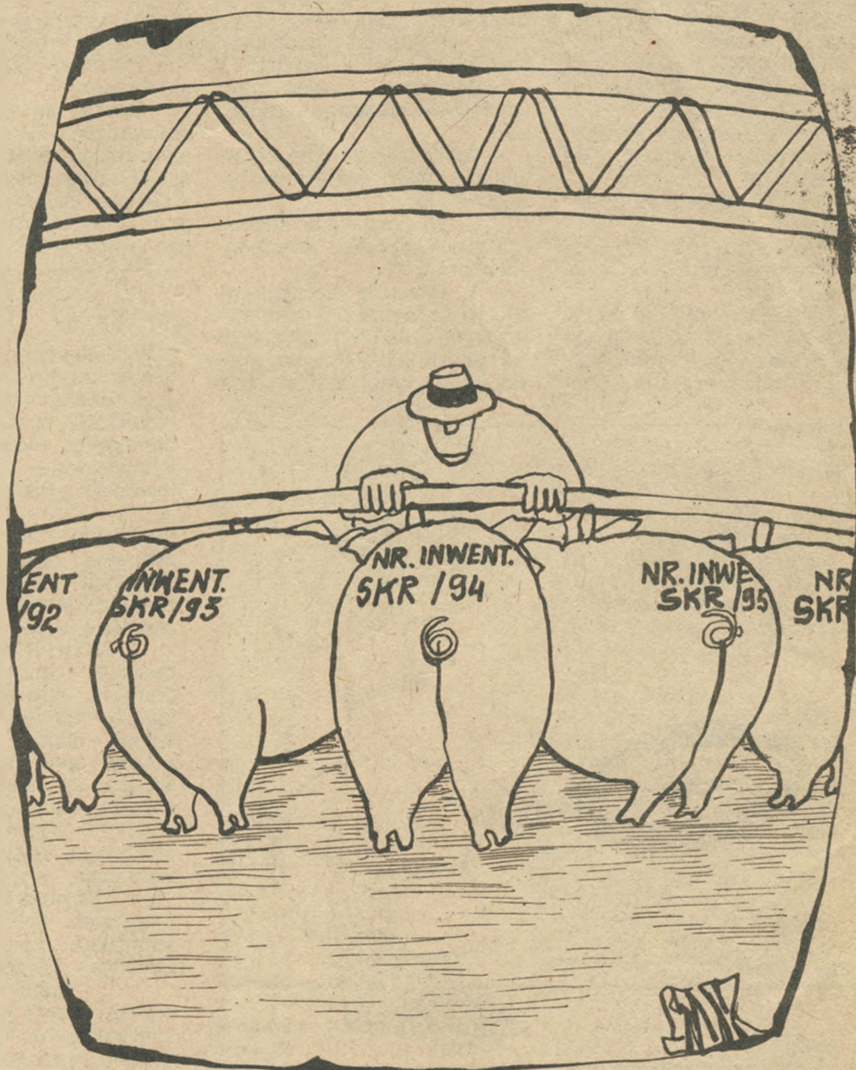
Pani sąsiadko, jaki jest najlepszy środek do zmywania naczyń?
– Próbowałam różnych, ale najbardziej mi się podoba mój mąż.

*

– Kupiłem bilety na „Hamleta". Teatr „Mały", przyszły piątek... Czy mogłabyś się, kochanie, zacząć ubierać?

*

– Przez mężczyzn nie ma co płakać, sąsiadko. Jeden odejdzie, będzie drugi.
– Ba, moja pani! Ale co robić, jak ten pierwszy, nie chce odejść?



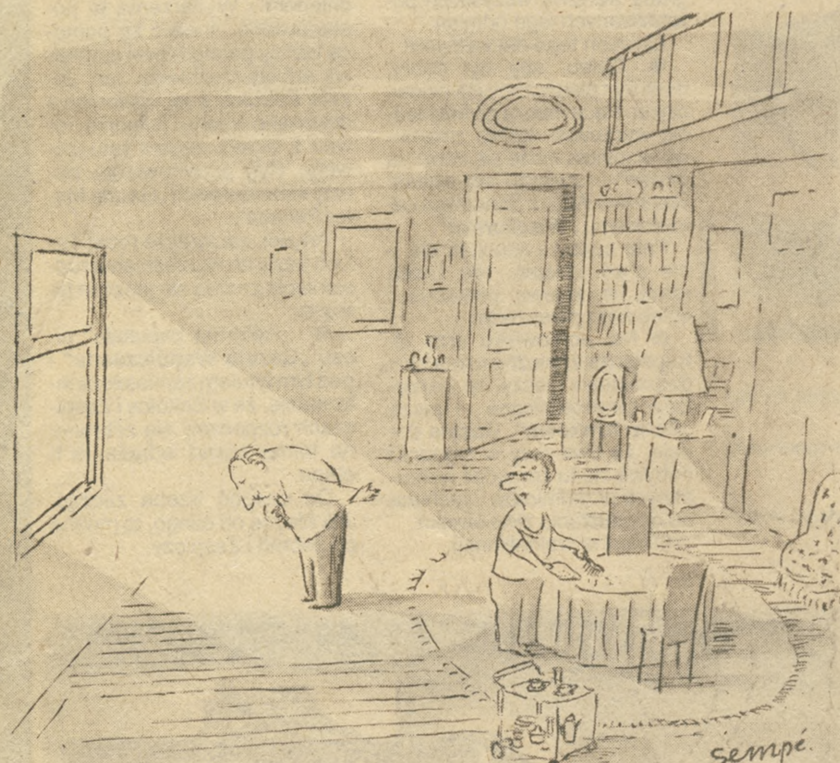
ANDRZEJ STOK



„THE NEW YORKER"



„URZICA"



„THE NEW YORKER"

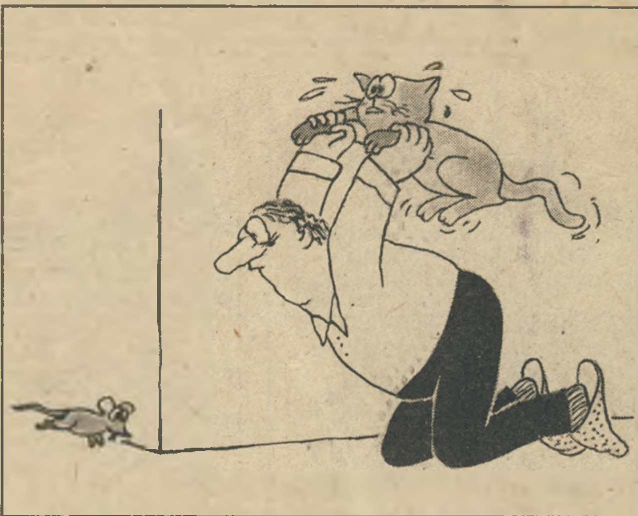


„ROHACZ"

karuzela

Dwutygodnik satyryczny Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Adres redakcji: 90-113 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5. Telefony bezpośrednie: 33-14-32, 33-90-83. Centrala: 32-93-00. Redaguje zespół: HENRYK PAWLAK (redaktor naczelny), BOHDAN PIĄTKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JAN BRZÓZKA (sekretarz redakcji), STANISŁAW GRATKOWSKI (kierownik działu graficznego), HALINA SIBIŃSKA (zastępca kierownika działu graficznego), STEFANIA MAŁEK, ALEKSANDRA ZIMIŃSKA (redakcja techniczna), KAROL BADZIAK (publicysta). Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", 90-113 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne 92-332 Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Rysunków i tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i adiustacji nadesłanych tekstów. Informacji o warunkach prenumeraty udzielają oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw w Warszawie, ul. Towarowa 28. Numer zamknięto 1987.12.11. Nr indeksu 36254. Zam. 3906/87. H-10. PL ISSN 0449-9026





Pisane kursywą

Zapalniczka wyglądała elegancko i – co nie bez znaczenia – miała obniżoną cenę. – Poproszę – powiedziałem do sprzedawczyni. Nie zapalała. – Ależ ona nie działa – zauważyłem. – Owszem – odparła sprzedawczyni – nie działa i dlatego jest tańsza od działających. – Ależ to w ogóle nie jest zapalniczka! – protestowałem jeszcze. – W pewnym sensie jednak jest – stwierdziła kategorycznie i zajęła się mniej marudnym klientem.

Film „Pół żartem, pół serio" był okropnie śmieszny, ale to był film. Rzeczywistość pół żartem, pół serio także może być zabawna, częściej jednak nie jest. Mnie przynajmniej nie jest już w stanie rozbawić remis, który w pewnym sensie jest zwycięstwem, kawa z cykorii i herbata ziołowa, połowiczny sukces reformy oraz jajeczko par excellence częściowo nieświeże.

MALKONTENT

Z drugiej ręki

● Nie obrodziły jabłka, ale za to obrodził proszek do prania. **„Gazeta Robotnicza"** donosi z Wrocławia, że drzewa wokół „Polleny" pokryły się grubą warstwą wszystkich poszukiwanych jego odmian.

Miczurin tego nie wymyślił!

● „Chleb, aby był dobry, musi być pieszczony jak dziewczyna. Ręce muszą go bezbłędnie wyczuwać, każda zmarnowana minuta może się odbić na jakości" – zwierzył się piekarz Stanisław Walo z Sosnowca katowickiemu **„Wieczorowi"**.

Fala seksu – okazuje się – nie chce ustąpić. Nie zalała szkół, to zalewa piekarnie i chleb nasz powszedni.

● Na złomowisku przy ul. Kapelanka znaleźć można bardzo ciekawe rzeczy, np. narzędzia ginekologiczne – pisze **„Echo Krakowa"**. Gazeta dodaje, że dwa razy w tygodniu odbywa się tu sprzedaż wyrzuconych przedmiotów i zachęca do odwiedzania złomowiska.

O biedne krakowianki!

● **„Express Poznański"** przypomina, że w Poznaniu właśnie, w hotelu „Bazar", Henryk Sienkiewicz odczytał publicznie rękopis noweli „Za chlebem". Wydarzenie to postanowiono utrwalić za pomocą tablicy pamiątkowej autorstwa artysty-rzeźbiarza doc. Józefa Petruka, a jej odsłonięcia dokonano w samo południe, równo z biciem zegara ratuszowego. Były przemówienia, poczty sztandarowe i „Gaude Mater Polonia".

Artyści, zacierajcie ręce! Takich tablic do wyrzeźbienia i odsłonięcia znajdą się jeszcze tysiące.

● „Reforma zapukała" pisze **„Gazeta Współczesna"** i pod tym tytułem zamieszcza informację, że w Sokółce i Zaśpiczach rozpoczęły się zebrania na temat zasad wdrażania II etapu.

Od czegoś trzeba zacząć. Jak nie ma od czego, to można od zebrań i Zaśpiczy.



masztalski
pr. kalo wice
na łamach karuzeli

– Masztalski, pożycz mi sto złotych.
– Żałuja, ale nie mom przy sobie pieniędzy.
– A w doma?
– A w doma dziękuja, wszyscy zdrowi.

Żelozkowo do Masztalskiej:
– Czy to prowda, że tak trudno jest zatrzymać jakoś tajemnica inc dlo siebie?
– Nie wiym, nigdy żech tego nie próbowała.

* * *

Masztalski jedzie tramwajem, a kole niego stoi tako piykno dziołszka i okropnie wrzeszczy:
– Co se pan myśli, już pół godziny głosko mie pan po nodze!
– To ciekawe – godo Masztalski – już pół godziny to robia, a dopiero teroż się to wom nie spodobało.

* * *

Masztalski do Ecika:
– Twoja staro to musi być pieronem oszczędno.
– A co, widać to po niej?
– Nie, po tobie.

* * *

